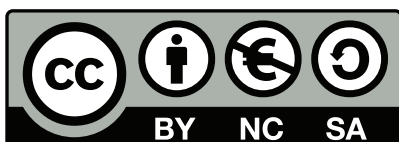


**Krystyna Stadnicka-Skrzypczyk
z domu Graczyk**

Stracone dzieciństwo



Ten utwór objęty jest licencją Creative Commons
Uznanie autorstwa-Bez utworów zależnych 2.5 Polska.
Aby zobaczyć kopię niniejszej licencji przejdź na stronę:
<http://creativecommons.org/licenses/by-nd/2.5/pl/>.
Pewne prawa zastrzeżone na rzecz autora publikacji.

Opracowanie techniczne: eBooki.com.pl

Sybiracy.pl

2009-07-31

Wołyń

Byłam 4-letnim, beztroskim dzieckiem. Biegałam po łąkach, zrywałam kwiatki, łapałam żaby do kieszeni fartuszka. Lubiłam pić mleko prosto od krowy na łące. Ładnie mówiłam wierszyki. Wszystko to wiem z opowiadań rodziców.

Urodziłam się w Rejtanowie pow. Dubno na Wołyniu. Rejtanów był osadą, w której po I Wojnie Światowej zamieszkali osadnicy wojskowi.

Mój Ojciec, Jan Graczyk – Powstaniec Wielkopolski – przybył do Rejtanowa z woj. poznańskiego. Tam ożenił się z Katarzyną Mielcarek ur. w Radziejowie na Kujawach i założył rodzinę. Tam ja się urodziłam i moja siostra Janka, starsza o 5 lat.

Podróż w nieznane

Był rok 1940. Zaczęły się masowe deportacje Polaków w głąb Rosji. Wszyscy osadnicy z Rejtanowa, w kolejnych wywózkach zostali zesłani na Sybir. Na nas przyszła kolej w czerwcu.

Wywózki odbywały się w nocy. Wtargnęli do domu uzbrojeni NKWDziści. Kazali szybko się pakować, poganiali, grozili. Zawieźli nas (całą rodzinę) na stację kolejową we Włodzimierzu Wołyńskim.

Oczekujący na nas, bardzo długi pociąg składał się z wagonów towarowych. Do takiego wagonu załadowali nas razem z innymi rodzinami. Wagonów zaryglowanych żelaznymi sztabami strzegli uzbrojeni NKWDziści. W wagonach było duszno i ciasno.

Moje miejsce było na górnej pryczy przy małym, zakratowanym okienku. Jechaliśmy cały miesiąc, przemierzając tysiące kilometrów, zamknięci w nieludzkich warunkach. Po drodze umierali ludzie. Pamiętam zmarłą w wagonie małą Żydówkę.

Zapasy żywności szybko się skończyły, zaczął się głód i pojawiły się wszy. Co parę dni strażnicy wypuszczali po 2 osoby z wagonu po wodę, chleb i porcje kaszy.

Syberyjska Tajga

Zawieźli nas na Syberię do stacji Asino w obwodzie nowosybirskim. Tam kończyła się już kolej. Dalej płynęliśmy „barżą” po rzece Czującym (dopływ Obu), do przystani Załomna. Stamtąd dziwnymi wozami zaprzężonymi w woły zawieźli nas do Suszyłki w pobliżu osiedla o nazwie Tajga, w Głębi syberyjskiej tajgi.

Suszyłka to miejsce smutne, otoczone lasem. Był tam tartak, wytwórnia terpentyny i kilkanaście baraków. Pobudowali to zesłańcy, których losów nie znaleźliśmy; zastaliśmy wszystko opuszczone, nieczynne.

W barakach rozmieścili nas razem z innymi rodzinami. Baraki zbudowane były z drewnianych belek, uszczelnionych mchem. W szczelinach ścian gnieździły się roje pluskiew. Pluskwy atakowały nocą. Mnie, dziecko upodobały sobie szczególnie. Już po pierwszej nocy byłam spuchnięta od jadu tego robactwa. Pluskwy były odporne – nie dały się niczym zwalczyć.

Byliśmy zesłańcami pod nadzorem NKWD z zakazem przemieszczania się do innych miejscowości. Ucieczka stamtąd była niemożliwa, gdyż otaczała nas głucha, nieprzebyta tajga, pozbawiona dróg. Była tylko jedna droga zbudowana z drewnianych belek. Prowadziła z Tajgi do Malinówki, gdzie mieścił się „sielsowiet” i dalej do rzeki Czującym, którą spławiano drzewo z wyrębu lasu.

Za nędzny „pajok” chleba – 400 g dla pracującego i 200 g na „wyżywienca” mój Ojciec pracował przy wyrębie lasu jako „lasorub”. Była to praca niewolnicza. Zimą zaczynała się o świcie, a kończyła o zmroku, w głębokich zaspach śniegu.

Mrozy często były tak silne, że zatykały oddech. Odmrażały się ręce i nogi. Trzeba było rozcierać śniegiem zamrożone już białe policzki. W takie mroźne dni spadały w locie ptaki, a drzewa pękały z trzaskiem. Nie było odpowiedniej odzieży. Ludzie radzili sobie jak mogli. Głowy zawijali szmatami, zostawiając tylko otwory na oczy. Po chwili szmaty robiły się białe od szronu ze zwisającymi soplami lodu.

Z głodu i wycieńczenia ludzie chorowali. Mój ojciec zachorował na kurzą ślepotę i na bardzo ciężką chorobę malarię, która często występuje na Syberii od ukąszenia komara widliszka. Z braku witamin i z głodu, o zmroku człowiek tracił wzrok.

W tajdze zimą silne mrozy i obfite śniegi, latem nieprzebyte mokradła i grzęzawiska. Ziemia tam nie odmarza przez krótkie, chociaż upalne lato.

W mokradłach lęgną się roje komarów i meszek – niezwykle uciążliwa plaga tajgi. Nie można było zbyt daleko oddalać się od drogi, żeby nie zabłądzić.

Zimą opady śniegu były tak obfite, że po odsnieżeniu drogi przez pługi śnieżne tworzyły się głębokie wąwozy. Taką drogą chodziłam sama do szkoły, do posesi, oddalonego od nas o 1,5 km. Bałam się sama chodzić przez las, a najbardziej koło cmentarza. Cmentarz był dla mnie miejscem strasznym, gdyż latem wystawały trumny z grobów wykopanych zimą w zamrożonej ziemi.

W szkole uczyłam się w języku rosyjskim. Nie było podręczników, ani zeszytów. Pisaliśmy na marginesach książek i między wierszami. Do dzisiaj zachowałam książkę pisaną wierszem „Koniok Gorbunok” Jerszowa. Dużej części tej książki nauczyłam się na pamięć.

Byłam mała, zagubiona, jedyna w klasie Polka, ale nie przypominam sobie, żeby mnie ktoś skrzywdził. Nauczycielka – Maria Nikołajewna powiedziała dzieciom, żeby mnie nie biły, bo ja nie mam rodziców.

Języka polskiego nauczyłam się w domu od rodziców i siostry. Po powrocie do Polski, poszłam od razu do 3-ej klasy.

Latem żywiliśmy się grzybami, jagodami i zielskim jak: pokrzywa, oset, lebioda. Nie było tłuszczu, ani cukru. Wodę do picia otrzymywaliśmy ze śniegu, latem z dołka po przewróconym drzewie. W posesi była studnia artezyjska (głębinowa), ponieważ na tych terenach ziemia nigdy całkowicie nie rozmarza. Na początku wodę z tej studni przywoził nam „wodo-woz”. Nie było mydła ani żadnych środków czystości.

Mama nie mogła ciężko pracować w lesie (była zwolniona), dlatego często udawała się do okolicznych wiosek do Rosjanek, którym pomagała przy różnych pracach domowych. Wróżyła i zamieniała na żywność drobiazgi przywiezione z Polski. Przywoziła na sankach trochę owsa, ziemniaków, czasem kawałek mrożonego mleka. Bardzo czekałam na powroty Mamy, była wtedy wielka uczta. Te wyprawy samotnej kobiety przez tajgę były bardzo niebezpieczne. Mama moja była bardzo odważna i zaradna. Czasem jesienią chodziła na kołchozowe pola żeby zbierać pozostałości po wykopkach ziemniaków czy brukwi. Było to zabronione. Zdarzało się, że zauważył ją uzbrojony stróż. Kazał wszystko oddać. Nie przestraszyła się, kiedy chciał strzelać – nie oddała zdobytych.

Tajga w języku miejscowym to „wielki las”. Rosną tam, obok drzew liściastych ogromne sosny, pichty, modrzewie dostarczające żywicy „siery”, którą wszyscy żują jak gumę. Rosną

unikalne syberyjskie cedry, na których jesienią dojrzewają szyszki pełne smacznych orzeszków. Takie orzeszki gromadziły sobie na zimę ptaki zwane „kiedrowkami”. Składały je w trocinach na strychach baraków. Obie z siostrą wykradałyśmy im te zapasy. W poszukiwaniu orzeszków i dla rozrywki nauczyłam się zręcznie wchodzić na dachy baraków. Latem plagą tajgi są komary i meszki. Komary szczególnie dokuczały wieczorem i w nocy. Z baraku trzeba było je wypędzać przy pomocy dymu. Tym zajmowała się moja siostra Janka. Gdy zrobiło się ciemno wkładała do blaszanki spróchniałe drzewo, suchą trawę i zapalała. Zaczynało się mocno dymić, otwierała drzwi, wtedy komary uciekały na zewnątrz. Dymiące puszki nosiło się przy sobie wieczorem. Komary obsiadały wszystkie odkryte miejsca, nawet dziurki od sznurowadeł. Od ukąszenia komara widliszka ludzie chorowali na malarię – ciężką, nieuleczalną chorobę. Bardzo drobna meszka syberyjska, chmarami zalegała nisko położone miejsca. Wdzierała się do ust, uszu, nosa powodując opuchliznę.

Byłam dzieckiem, dlatego bardziej od spraw bytowych interesowało mnie otoczenie. Podpatrywałam przyrodę. Tajga jest piękna. Urzeka bogactwem roślinności – przepięknych kwiatów, jak: storczyki, lilie, leśne bzy. Polany pokryte kwiatami zwanymi „ogońki” wyglądały z daleka jakby płonęły.

Jest również obfitość jagód, malin, porzeczek i grzybów. Gdy dorośli wychodzili na jagody, mnie zostawiali w domu. Wtedy wchodziłam na dach baraku gdzie czułam się bezpiecznie. Tam nie bałam się zwierząt, ani starej Cyganki. Z daleka widać było „pichtokurkę”, gdzie wywozili zdechłe konie. Tam widywano niedźwiedzie. Mięso zdechłych koni ludzie jedli. Konie zdychały najczęściej z przepracowania. Pichtokurka to opuszczony szałas lasie, w którym dawniej wytapiano terpentynę. Był tam pozostawiony kocioł, jakiś czerpak – wszystko zasmolone, opuszczone. Bałam się tego miejsca.

Spośród zwierząt zapamiętałam białe zające i „burunduki” – małe gryzonie żyjące w stadach, z futerkiem w czarne paski na grzbiecie. Kilka skórek tych zwierzątek przywiezłyśmy do Polski.

W miejscu gdzie mieszkaliśmy nie było ziemi uprawnej. Rodzicom udało się wykarczować trochę lasu i skopać grządkę. Wyrosło trochę ziemniaków, których trzeba było pilnować, żeby nam ktoś nie podkładał. Postanowiłyśmy z siostrą wyręczyć zmęczonych rodziców. Była krótka, jasna noc. Obserwowałyśmy jak księżyc wędruje po niebie, a wokół tajga. Wcale nam się to pilnowanie nie nudziło, chociaż nie obeszło się bez strachu, ale pozostało w pamięci na zawsze.

Budowa tratwy

Gdy w roku 1941 generał Sikorski podpisał układ z ZSRR, nastąpiła „amnestia”. Mogliśmy już wyjeżdżać do innych miejscowości. Wówczas mój Ojciec z kilkoma Polakami postanowili (po pracy) zbudować tratwę, żeby z rodzinami rzeką Czującym dostać się do stacji kolejowej Asino, a stamtąd koleją na południe Rosji gdzie tworzyła się armia polska generała Andersa. Włożyli dużo wysiłku w budowę tej tratwy. Budowali 10 km od domu, nie mając odpowiednich narzędzi. Jednak wyprawa się nie powiodła. Gotowa już tratwa podczas próbnego spływu trafiła na mieliznę i tam ugrzęzła, gdyż nie znali dobrze rzeki. Czującym jest wielką rzeką, dłuższą od Wisły o 800 km.

Było wielkie rozczarowanie i smutek, że tyle wysiłku poszło na marne, bo byliśmy już przygotowani do drogi. Z tą podróżą wiązaliśmy wielkie nadzieje na wydostanie się z tej nieprzebytej tajgi.

Niektórym Polakom udało się wyjechać. Mężczyźni trafili do Armii Andersa, a ich rodziny do Persji. My musieliśmy pozostać.

W roku 1943 latem Ojca powołano do wojska, do dyw. Tadeusza Kościuszki. Było to trudne rozstanie. Kiedy już pożegnałyśmy go i opłakałyśmy Jego odejście, pewnego dnia, po miesiącu wrócił z powodu nawrotu malarii. Pierwsza go zauważyłam, na drodze z belek. Była to ogromna radość. Popędziłam na Jego spotkanie. Lecz radość nie trwała długo – gdy został wezwany ponownie, już do nas nie wrócił. Codziennie wychodziłam na tę drogę z belek mając nadzieję, że go znowu zobaczę. Spotkaliśmy się dopiero po 3 latach, po powrocie do Polski.

Śmierć Mamy

Po odejściu Ojca Mama była przekonana, że on zginie na wojnie. Zaczęła się dziwnie zachowywać. Wszędzie dopatrywała się znaków, że zginął. Z tej rozpaczki zaczęła się u niej choroba psychiczna. Początkowo objawiało się to łagodnie aż do tej strasznej nocy, kiedy zaczęła krzyczeć i stała się niebezpieczna dla otoczenia. Zmagaliśmy się z nią i modliłyśmy przez całą noc. Tylko nas obie przytulała czule, bo bała się, że ktoś nas skrzywdzi. Obcych ludzi uważała za wrogów, nie pozwalala ich wpuszczać. Modliła się i bardzo głośno krzyczała. Przeklinała Stalina, nazywała go diabłem z piekła rodem. Od tego krzyku ochrypła.

Była to najstraszniejsza noc w moim życiu. W miejscowym szpitalu w posiołku nie było psychiatry, więc postanowili zawieźć Mamę do szpitala w Tomsku odległym o 200 km. Było to w lutym, w środku syberyjskiej zimy. Powieźli ją saniami. Już do nas nie wróciła.

Zmarła w maju 1944 roku w Tomsku. Na małej karteczce, ledwo czytelne, otrzymaliśmy zawiadomienie o Jej śmierci. Przeżyła ok. 35 lat. Nie zachowały się żadne dokumenty o dacie Jej urodzenia.

Tułaczka bez rodziców

Będąc dzieckiem nie rozumiałam dlaczego nas wywieźli na Sybir. Z rozmów rodziców o naszej beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy wyczuwałam, że stanie się coś złego. Nie wiem, kto mnie nauczył wierszyka o sierotce: „Szła sierotka szybkim krokiem na swej mamy grób”. Ciągle powtarzałam te słowa, nieświadoma, że się niebawem sprawdzę, lecz nie dosłownie, bo grobu Mamy nie widziałam.

Zostałyśmy same, bez żadnej opieki. Miałam wtedy 8 lat, siostra 13. Po śmierci Mamy tułałyśmy się jeszcze przez 2 lata wśród obcych i często niezyczliwych nam ludzi.

Suszyłka opustoszała. Polacy przenieśli się do innych miejscowości. Zostałyśmy tylko my dwie i sąsiadka z dwojgiem dzieci, która zamiast okazać nam współczucie, była dla nas niezyczliwa. Za to, że jej synowie zakradli się do zapasu naszych sucharów, które zostawiła nam Mama, a moja siostra poskarżyła się Polkom w posiołku, bardzo ją skrzyczała używając słów „żebyś zdechła, jak twoja matka”. Wiedziała, że już nikt się o nas nie upomni.

Życie w opustoszałej suszyłce oddalonej o 1,5 km od posiołku stało się dla nas straszne. Otoczone lasem baraki i tartak pozostały puste. Tylko otwarte drzwi skrzypiały pod wpływem wiatru. Wszystkie odgłosy wydawały się groźne. Szczególnie bałyśmy się nocą. Dlatego spakowałyśmy swoje rzeczy do drewnianej skrzyni i przeniosłyśmy się do posiołku, gdzie było większe skupisko ludzi.

Zamieszkałyśmy z dala od posiołku, w baraku, w którym mieszkało kilka nieznanym nam osób. Spałyśmy na podłodze wyścielonej trawą.

Był maj, kiedy w tajdze budzi się wiosna i świat staje się piękny, my przeżywałyśmy tragedię. Nikt nam w tej tragicznej sytuacji nie pomógł i nie poradził jak mamy dalej żyć. Takie osierocone dzieci trafiały do domów dziecka. O nas nikt się nie zatroszczył. Domu dziecka w pobliżu nie było.

Wtedy siostra Janka ze znajomą Polką, tak jak kiedyś Mama, zaczęła się wyprawiać do okolicznych wiosek po prośbie o żywność. Czasem tam nocowała. Ja pozostawałam sama. Najgorsza była noc. Bojąc się położyć sama spać, siedziałam na dworze dopóki kręcili się ludzie i zrobiło się ciemno (światła nie było). Tego się nie da opisać jak bardzo bałam się wejść do ciemnego baraku. Nie mogłam zasnąć, zakrywałam się na głowę, żeby nic nie słyszeć. Tych przeżyć nigdy nie zapomnę.

Chlebem dzieliliśmy się równo. Kiedy zostałam sama zjadałam swoją połowę, a połowę przeznaczoną dla siostry chowałam i żeby się nie skusić cały czas przebywałam na dworze. Wpadałam tylko do baraku, żeby „tylko raz ugryźć”. Siostra po powrocie była zdziwiona, że nie zjadłam całego chleba.

Zdarzyło nam się, że zgubiliśmy kartki na miesięczny przydział chleba. Wtedy spałyśmy dzień i noc z głodu i osłabienia. Nie pamiętam jak długo to trwało. Pewnie ktoś nas obudził.

Listy do Ojca pisałyśmy na gazetce zwijanej w trójkąt. W ostatnim liście pisanym do nas powiadomił, że będzie miał zmieniony numer poczty polowej i żebyśmy czekały na nowy. Tymczasem zorganizowano nam wyjazd na Ukrainę, a nowego adresu nie otrzymałyśmy. Straciliśmy ze sobą kontakt.

Ukraina

W roku 1944, pod koniec lata, Polacy, którzy mieli dokumenty mogli opuścić Syberię.

Ponownie, z przystani rzecznej w Załomnej, już bez rodziców, po długich oczekiwaniach na barżę, ogromną rzeką Czuyłym płynęliśmy do Asino. Tam przez miesiąc pod gołym niebem czekaliśmy na podstawienie wagonów, aż zastały nas chłody i zaczął padać śnieg. Koczowaliśmy przy ogniskach za torami.

Podstawiono pociąg towarowy, taki sam jak poprzednio, tylko wagonów nie ryglowano. Na drogę otrzymaliśmy z UNRA suchy prowiant m.in. mąkę, z której trzeba było coś ugotować w tak niedogodnych warunkach. Zajmowała się tym siostra. Kiedy zatrzymywał się pociąg ludzie wybiegali z blaszankami na pobocze torów żeby rozpalić ognisko i zacząć gotować. Często trzeba było wymijać kilka stojących pociągów, przechodząc pod wagonami lub brekiem, żeby znaleźć się na poboczu torów. Czasem pociąg niespodziewanie odjechał, a nie wszyscy zdążyli wrócić do wagonu. Zostawali gdzieś w środku Rosji, bezradni, bez dokumentów. Wówczas musieli doganiać nasz transport innymi pociągami.

Było rzeczą normalną, kiedy pociąg się zatrzymał, że wszyscy załatwiali swoje potrzeby fizjologiczne pod wagonami, obok siebie.

Pociąg „eszałon” był bardzo długi, ciągnęły go trzy lokomotywy. Ruszał i zatrzymywał się z wielkim zgrzytem i szarpaniem. Wtedy budziłam się w nocy i nasłuchiwałam, co dzieje się na zewnątrz.

Koleją transsyberyjską przemierzaliśmy ogromne przestrzenie Rosji. Po drodze zmieniały się krajobrazy i strefy klimatyczne, od tajgi, po stepy Ukrainy. Mijaliśmy góry Uralu, które zrobiły na nas wielkie wrażenie. Jechaliśmy głębokim wąwozem wykutym w skale. Na ścianach skał były wymalowane wizerunki Stalina i innych przywódców ZSRR oraz różne „wzniosłe” hasła jak: „zdorowy wsie, kujom pobiedu, dobijom wroga, domoj prijedu”. Byłam dobrym obserwatorem, interesowało mnie wszystko. Zapamiętałam nazwy wszystkich mijanych miast jak: Nowosybirsk, Omsk, Czelabińsk, Uta, Złatoust i inne. Dojechaliśmy do obwodu Stalino (obecnie Donieck) we wschodniej Ukrainie.

Sowchoz nazywał się Kołoski w rejonie Starobieszewo. Zamieszciliśmy w stepie, gdzie klimat był łagodniejszy od syberyjskiego. Domy, zbudowane z kamienia, wilgotne i zimne. Często słychać było wybuchy z kamieniołomów. Zamieszkałyśmy w jednym pomieszczeniu z sześciuosobową rodziną.

W sowchozie siostra pracowała w polu, później była gońcem u kierownika sowchozu oraz jako niańka w żłobku. Ja chodziłam do drugiej klasy rosyjskiej szkoły.

W stepie krajobraz był monotony, przeważnie rosły piołuny i różne buriany. Ziemie były urodzajne – dojrzewały kawony, melony, słoneczniki, kukurydza. Jako opał służył nam piołun, który dorastał wielkości człowieka. Taki suchy piołun łamało się i układało w wiązki i na plecach nosiło do domu. Ciekawy był widok pochylonych kobiet z wiązkami na plecach, ze wszystkich stron stepu wracających do domu. Piołun spalał się natychmiast i trzeba było przynosić od nowa. Robiły to kobiety, bo mężczyźni byli na wojnie. Jesienią zaopatrzyli nas na zimę w tzw. topkę wycinaną w stepie i układaną w stóg. Zimą przy pomocy haka wyciągało się ze stogu trochę topki, która w piecu spalała się jak słoma i dawała mało ciepła. Tego opału nie starczyło na zimę. Musieliśmy zakradać się do kołchozowej słomy. Muszę zaznaczyć, że mieszkaliśmy w Donbasie – zagłębiu węglowym, obok kopalń węgla.

Naszym pożywieniem przeważnie była mamałyga z kaszy kukurydzianej. Powszechny był zwyczaj łuskania ziaren słonecznika. Wszyscy łuskali „siemiczki”, a łuski wypluwali przed siebie na podłogę.

Wspomnę o kolejnej pladze Rosji, jaką były wszechobecne wszy. Mieli je wszyscy, nikt się tego nie wstydził. Był taki zwyczaj, że latem Rosjanki w wolnych chwilach siadały przed domem i wzajemnie się „iskały” przy pomocy grzebienia lub noża, na którym rozgniatały to robactwo. Była to dla nich pewna rozrywka. Zachęcały nie raz i nas, żeby poiskać.

Pomimo wojny, na której ginęli mężowie, albo wracali ranni, często bez nóg lub rąk, miejscowe kobiety były bardzo rozśpiewane. Po drodze z pola zbierały się na tańce i śpiewy. Tam nauczyłam się różnych dumek i czastuszek.

Miejscowi ludzie byli dla nas życzliwi, z żalem nas żegnali gdy odjeżdżaliśmy.

Powrót do Polski

Nareszcie nadszedł czas powrotu. 10 lutego 1946 r. na drugi dzień po moich dziesiątych urodzinach. Po rocznym pobycie na Ukrainie już kolejny raz załadowaliśmy się do wagonów towarowych. Podróż trwała bardzo długo w zimnych wagonach. Pociąg zatrzymywał się bez planu oczekując na wjazd, nieraz na długie postoje w polu.

Marzłam, bo nie miałam się czym przykryć. W miejscu gdzie spałam wiało przez szpary, nawet wpadał śnieg. Płaszcz, którym się przykrywałam był niewystarczający.

Na polskiej ziemi

Granicę przekroczyliśmy w Rawie Ruskiej, gdzie przesiedliśmy się do polskich wagonów. Transport dojechał do Katowic, skąd każdy wracał w swoje strony. My kierowałyśmy się w stronę Środy Wielkopolskiej gdzie mieszkali nasi dziadkowie – jak zapamiętała siostra. Z Poznania do Środy jechałyśmy na platformie z węglem – tylko my dwie. Nie wiedziałyśmy, czy ten pociąg zatrzyma się w Środzie. Gdy zwołnił, wyskoczyłyśmy w biegu. Napotkanego kolejarza spytałyśmy gdzie mamy się udać. Skierował nas do Urzędu Repatriacyjnego. Tam przenocowałyśmy i dali nam jeść. W urzędzie nie udzielono nam pomocy w odnalezieniu rodziny. Żeby dostać się do rodziny we wsi Wiosna, Janka poszła na targ. Tam znalazła gospodarza, który mieszkał w pobliżu Wiosny. Zgodził się zabrać nas na wóz.

Na targu wzbudziłyśmy wielkie zainteresowanie swoim wyglądem. Ludzie z ciekawością do nas podchodzili, oglądali nas i zadawali pytania. Dziwili się, że dwoje dzieci, bez rodziców wracają same z Syberii. Ubrana byłam w zniszczony za duży płaszcz, na nogach miałam poń-

czochy, które zrobiłam z resztek wełny i bardzo za duże buty z poddartymi nosami. Na głowach miałyśmy jednakowe chustki z szarego koca, Byłam bardzo mała, wynędzniała i brudna. Miałyśmy ze sobą drewnianą skrzynkę koloru czerwonego, przewiązaną sznurkiem. W skrzyni nie było nic oprócz kilku skórek burunduków.

Gospodarz powiadomił Ojca, który wrócił już z wojny, żeby zgłosił się po nas. Nie spodziewaliśmy się, że się kiedykolwiek zobaczymy. Było to bardzo wzruszające spotkanie. Jednocześnie żał, że nie wróciła Mama.

Wróciłam przeziębiona. Babcia troskliwie się nami zajęła. Położyłam się do łóżka pod pierzynę. Przez cały czas zesłania nie spałam na prawdziwym łóżku. Najczęściej na podłodze lub w bydłowych wagonach, przewożona z miejsca na miejsce.

Tak zakończyła się nasza sześcioletnia tułaczka.

Wszystkich faktów opisanych, widzianych oczami dziecka nigdy nie zapomnę. Długo jeszcze po powrocie w nocy słyszałam stukot jadącego pociągu.

Okrutny los, który zgotował nam sowiecki reżim pozbawił mnie normalnego dzieciństwa i najbliższej mi osoby – Matki – tylko dlatego, że byłam Polką.

Krystyna Stadnicka-Skrzypczyk
Olsztyn 31.07.2009 r.